

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Tomasz Jastrun

Promienie błędnego koła

Copyright by Tomasz Jastrun
Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Arka

Zrozumiałem
Że można kochać kobietę
I dziecko
I że nie można
Pojąć pogrzebu
Szumiącego buntu drzew
I milczącej pokory trawy

I pojąłem że nic nie ma sensu
I że sens ma wszystko co jest

Moja nienawiści – moja łagodności
Mój węzu i kanarku

Ocean który nas kołysze
Zwątpił w swoje brzegi

Zwierzęta płazy owady
Siedzę wśród was
Na drewnianym pokładzie
I patrzę jak wraca z niczym
Zmęczona gołębica

Wieża

Baranku Boży który gładzisz grzechy świata
Zmiłuj się nad nami

Owczarzu który idziesz z nożem
Zmiłuj się nad barankiem

Nie ma już baranka
Ślad zaginął po owczarzu

Nóż przechodzi z rąk do rąk
Jak cegła na budowie

I oto stoi ukończona wieża Babel

W każdym oknie
Pytanie bez odpowiedzi
W każdym braku odpowiedzi
Człowiek

Gniazdo

Mój syn ma trzy lata
Jak trzy kolorowe klocki
Ułożone nierówno
Jeden na drugim

Jest noc
W jego oddech wsłuchuje się cały pokój
Dlatego tak cicho
Jakby ktoś posiał snem

Tylko na małej planecie czoła
Złe sny

Więc chwytam go za rączkę
Niespokojną

I jak pisklę co wypadło
Chowam w pustym
W tak bardzo pustym gnieździe
Swoich dłoni

Spojrzenie

Poprzez szczeliny w pocałunkach
Uciekały lata spłoszone zwierzęta
Potem nie było już
Pocałunków
Ostatnie zwierzę stanęło
I spojrzało
Śmiertelnie przerażonymi oczyma

Portret złożony

Darto niepotrzebne portrety

Do dziś nie może odnaleźć oczu
Złożyć czoła

Nie dla niego pracują fabryki złudzeń

Czuje chłód
Odlatują ptaki

Jest zmęczony
Chciałby już spocząć
W alei zasłużonych

Rok 1864

Las pusty jak echo
Ostatniego wystrzału
Na mchu czerwony bandaż

Powstańcy są już w niebie
Lub w drodze na Syberię

Bezładny rozbity tłum dni
Ustawia się w szereg
I przechodzi do historii

Dzieje się to daleko
Lecz jeszcze w Europie
W otwartej książce
Która spadła z półki

Na kolejnej stronie
Rozciętej blizną Wisły.

Dom i ogród

Otwierają się i zamykają drzwi
Z nazwiskami żywych i zmarłych
Idą w dół po schodach
Bucik dziecka
Pomarszczony but starca
Z bolesnym odciskiem

Wyrzucone obuwie zakopuje się
W pobliskim ogródku
Po latach zostają tylko podeszwy
I gnijące sznurowadła

Czekając

Słyszę puls zegara

Boję się
Ona jest przecież taka delikatna
Wczoraj
Krojąc chleb skaleczyła się nożem
Kropla krwi spadła
Jak zabity ptak

Czekam
Zamknięty w jej nieobecności
Zwierzę w klatce
Chodzę w myślach
Tam i z powrotem

W końcu siadam
W ciemnym kącie zamyślenia
I widzę że stoi tuż obok
Jak noc za oknem
Możliwość Jej nieistnienia
I mojego bez Niej istnienia

I jak matka
Ogarnia mnie ramionami
Przerażenie

Stary chłop

Usiadł na drewnianym progu
Westchnął – znowu dzień

Ma osiemdziesiąt lat
Sam wyciosał ten próg
Wyrabiał z lata dzień
Z dnia wydłubał ranek
Z ranka wysnuł westchnienie

Siedział – patrzył poprzez zepsute zęby płotu
W gardło świata

Potem wstał
Zaorał wszystkie pola
Te w pobliżu lasu te pod oczyma
I na wzniesieniu czoła

A kiedy były już nakarmione
Wszystkie na świecie świnię
I wydojone wszystkie krowy
Przyszedł czas zakopać swoją kobietę
Zużytą i starą

Został więc sam
Jak palec
Zgrubiały od pracy

Usiadł na drewnianym progu
Westchnął – znowu noc

Oczy

W dzieciństwie bałem się śmierci
Mniej niż pająka
Bardziej niż karalucha

A gdy umarła babcia
Czarni nieznani krewni o barach niedźwiedzi
Rzucili się na trumnę – otworzyli

Wtedy zacząłem się bać śmierci inaczej

Leży we mnie nieruchomo
I patrzy uparcie
Zamkniętymi oczyma

Wdowa

Nikt już nie mieszka w jej oczach
Szelest biegnących nocy
Wypełnił dwa puste pokoje
W szafie wisi garnitur
W nim cierpki zapach życia
Które odeszło
Nikt już nie mieszka w jej oczach
Tylko czasami na rzęsach
Siadają głodne gołębie

Kropla

Lęk się zagęstnił
Nie mogę ruszyć ręką ani nogą
Wozy cygańskie jadą
Snem
– Obudź mnie mammo –

Otwieram oczy
Drży pajęczyna na suficie
A pies który nagle zaszczekał
Obudził wielki zielony świat za oknami

Biegnę w ten świat
Poprzez ścianę dziesięcioleci
A tam szumi tylko jedno drzewo
Bez liści

I olbrzymieje w rannej poświacie
Kropla
Na złotym brzegu nieszczęlnego kranu

Optyzmizm

Schowałem się w jej uśmiechu
Kiedy zniknął
Byłem zakochany

Piła spojrzeniem moją miłość
Jak wodę ze szklanki
Obojętnymi wargami

A kiedy chciałem ją pocałować
Odstawiła mnie na stół

Mam teraz nogi z drewna
I przezroczystą głowę
A jednak nie tracę nadziei

Pokolenia

Są różne tragedie
I pokolenia różnie tragiczne

Najbardziej wzruszają ci
Którzy padli w ogniu i dymie
Unosząc patetycznie dłonie
Wypełnioną dojrzałym granatem
Na ich wierszach zawsze wiele
Świeżych kwiatów i płonących świeczek
Płaczą nad nimi dziewczęta
A chłopcy uczą się zaciskać pięści

Lecz są pokolenia inaczej
A tak bardzo tragiczne
Że nawet nie słyszą
Jak oddychają zatrutym powietrzem

Obok śpiącej

Przytulam swoją czaszkę
Do twojej
Całuję w oczodoły
A potem leżę w mroku
Nieruchomy
Kręgosłup obok kręgosłupa
Kość obok kości
Ciało obok ciała
Dwie krople krwi dwie łzy

I gładzę twoich włosów
Ułudę
I nasłuchuję pilnie oddechu

Jak w międzyplanetarnej rakiecie
Sygnałów z ukochanej ziemi

Lęk

Nie boję się śmierci
Lecz umierania
Bólu
Tępej igły
Godzin z ołowiu
Nadziei przesiąkniętej krwią
Śpiewu ptaków za oknem

Pochyla się nade mną
W czarnym garniturze
Wielki ojciec – lęk
Coraz mocniej ściska mi rękę

A przecież matka prosiła go
– Nie bądź taki surowy
On jest jeszcze mały
I nie potrafi umierać –

Stary poeta nasłuchuje

Wiruje popiół na spalonej łące
Skaczą czarne koniki polne
I jest tak cicho
Że słyhać
Jak pracują serca
Wierszy

Jabłoń

Tak mało jest już miejsc
Gdzie można w prawdziwej ciszy
Leżeć na zielonej trawie

Jak trujące grzyby
Po okrutnym deszczu
Wyrosły nad jeziorami złudzeń
Prywatne ambicje i lęki

W ich zaciszu rozbierają się
Ze skrupułów
Są nadzieje
Widać kości
Tętniące serce
I strumień krwi
Przy którym stoi
Zdziczała jabłoń
Sumienie

* * *

Tłum wydalął
Tłum nudził się
Tłum wył

Weszli przez otwarte usta
Pokaleczyło ich drgające gardło
Lecz dotarli aż do serca

Był to krwawy ochłap
Który kurczył się – rozkurczał
I nie znał litości

Więc szli dalej krzycząc
Wolność Niepodległość Równość
Usłyszał ich żołądek

Oddali mu swoje mięso i kości
Był głodny

Wędrowniacy

Brzęknął garnek
Potoczył się kopnięty kamień
Rósł gwar i zapach potu
Lata pomieszały się
Jak języki
Chciałem odnaleźć swojego syna
Przecież późno – pora spać
Nagle uprzytomniłem sobie
On nie jest już dzieckiem
Lecz nie potrafiłem go odpoznać
W tłumie mężczyzn
Którzy kopulowali z kobietami
Na wzgórzach łonowych
Nowej Epoki

Człowiek który nie podniósł ręki

Grzebał w popiołach zdrajców i łajdaków
Nie ziębiły nie grzały
Dotykał z obrzydzeniem kości bohaterów
Czaszka Hamleta wypadła z jego ręki
Wydając pusty dźwięk

Wrócił słabszy niż kiedykolwiek
Nie było wątpliwości
Tam jest przyszłość

I rozumiał dłonie podpisujące wyroki
I dłonie które nigdy
Nie zaciskają się w pięści

Lecz gdy wzniosł się w górę
Las pokornych rąk
Jego dłoń została
Przybita
Stalowym gwoździem sumienia
Do biodra

I rozumiał Boga
On nie jest
Ale bywa w nas
Gdy w noc zimową
Odłączamy się od stada

By patrzeć śmierci w oczy
Lub w gwiazdy

Niechęć

Spojrzał na mnie zimno spode łba
Swojej starości

I poczułem się winny podwójnie
Jego wieku i mojego

A przecież obaj wiedzieliśmy
Że tak musi być
Że to wyższa konieczność
Która dotyczy nawet gwiazd
I że kiedyś
Jeżeli nic nie zakłóci
Toru mojego istnienia
Ja też wystygnę
Nie zmieniło to jednak niczego
Pomiędzy nami
Przestrzeń międzygwiazdna
Pusta
Jak niepodanie ręki

Wysiadywanie

Od lat siedział na sławie
Rozpościerał skrzydła
Zaglądał pod pióra
Nic nie chciało się wykluć

Stracił cierpliwość
I rozbił skorupę

Tam była śmierć

Współczesny rycerz

Jadę na smutnej kobyle
I nucę ciemne piosenki
Jadę na smutnej kobyle
Don Kichot
Który czytał Cervantesa

Stara kobieta

Zrobiło się bardziej pochyło
I zimniej
I coraz trudniej odnaleźć drogę
Do siebie
A potem z kuchni do łóżka

I nie wiadomo kiedy
Z archipelagu
Ocalał tylko skrawek zamrożonego wybrzeża
Na którym wczoraj usiadła
Ślepa mewa

Dąb

– Strasznie boję się śmierci –
Powiedziała i położyła się
Na niebieskim dywanie

Miała sześć lat
I czerwoną wstążkę
Na jasnym warkoczu

A ja zaszyłem się wysoko
W dziupli fotela
Obracając w myślach jak wiewiórka
W łapkach
Ten twardy żołądź śmierci
Lecz nie mogłem go rozgryźć
Mlecznymi zębami
Więc wyrzuciłem przez okno

Teraz po latach
Leży na dywanie obcięty warkocz
Za oknem szumi dąb
I sięga po mnie ramionami

Smutne dzieci

Wszystkim zdrowym dzieciom
Śmieją się oczy
I pulchne policzki

Smucić się zaczynają potem
Gdy zrozumieją
Że świat jest zepsutą zabawką
Której
Nikt nie naprawi

Pocałunek

Przyszła tylko na chwilę
Ożywiły się kwiaty w wazonie
Pokój głębiej odetchnął

Unikała jego spojrzenia
Z żoną rozmawiała o sukniach
Potem wyszła gasząc kwiaty

– Piękna z niej dziewczyna –
Powiedziała żona
I uderzyła go w usta
Nożem
Ukrytym w pocałunku

Prawda

– To cud natury –
Powiedziała staruszka
Która podejrzewam
Jest dobrą wróżką

– Życie chorobą materii –
Rzekł z głębokim cieniem
Wyższości w głosie
– Więc i ten mały chory –

– Prawda jest pośrodku –
Uśmiechała się dziewczyna o niebieskich oczach
Takie oczy nie mówią prawdy i nie kłamią

– Prawdy nie ma – szepnąłem do siebie
Tak by wszyscy usłyszeli

– Ma ma ma ma –
Krzyknęło dziecko
I wszyscy umilkli

Wysychająca studnia

Gdy wybuchła wojna
Wykopano nową studnię
Najeźdźcy wrzucali do niej
Ciała zamordowanych

Studnia służy do dziś
Pisarzom starszej generacji
Wielu z nich nie ma nóg
Leżą w pobliżu wysychającej studni
Groźni i bezradni
Jak stare lwy

Wieś

Nie ma owiec koni krów
Domów z drewna
Nie pachnie pięknie gnój

Cała wieś poszła do nieba
Oprócz tego z brzegu
Za dużo pił

– Nie deptać
To więcej niż cmentarz –
Tu jeszcze można ręce grzać
Przy domyśle pieca
I w zamulonej studni
Szukać gwiazd

Popatrz

Na lśniącej szybie nocy
Jak odcisk palca
Spojrzenie zadumanych oczu
Sprzed tysiąca lat

Uścisk

Starzy ludzie i dzieci
Podobni jak kropla rosy
Do łzy

Idą
Trzymając się za ręce
Spleceni uściskiem
Poranku i zmierzchu

Wywiad z pisarzem

– Czy to wojna zrobiła z Pana pisarza –

– Może zrobiła a może nie –

Machnął dłonią

W której nie zmieściłby się już pistolet

– Jestem jak dom na który spadł pocisk

Deszcz śnieg i wiatr

W oknach wypalonych

A nocą gwiazdy

Których nie rozumiem

Piszę na schodach urwanych w pół zdania

Lecz wiem że to nic nie zmieni

Tutaj

Gdzie tylko kropla

Krwi kroplę zmienia

Błąd

Wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji
Ja ty on

Nie chce nas ziemia i niebo
Na nasz widok
Przedmioty zatrząskują okna i drzwi

On tego jeszcze nie wie
Małąką dłonią
Próbuje otworzyć kamień i wodę

Ja to już wiem
Ty to już wiesz

Nie trzeba go było stwarzać
Na własne podobieństwo

W stronę samodzielności

Kiedyś zawsze trzymałem go za rękę
Teraz chodzi już sam

Mały chłopczyk
Z jaskrawoczerwonym sercem

Ciągnie po ziemi
Moją urwaną dłoń

Kolacja zakochanych

Nasz dom
Podszyty jest futrem
Fundamenty pazurem
Drażnią ziemię

A na stole
W przezroczystym wazonie
Stoją kwiaty z podciętymi żyłami

Na poblądłej dłoni z porcelany
Dymi mięsień zabitej krowy

Bezlitośni czuli zakochani
Poruszamy miarowo żuchwami
Głodni mięsa głodni miłości

Martwe drzewa

A na samym końcu
Jak to zwykle bywa
Powieszono katów

Nie zrąbano szubienic
– A nuż się jeszcze przydadzą –

Stoją do dziś na placach
I podlewają je codziennie
Uśmiechnięci emeryci

Zielony sztandar

Janusz Korczak – Henryk Goldszmit
Idzie do komory gazowej
Za nim dzieci
Z zielonym sztandarem nadziei

Nieco dalej stoją dwaj Niemcy
Kancelarz Brandt i Kancelarz Schmidt
Ten pierwszy klęka niespodziewanie
Pod pomnikiem Getta
Drugi ze zboląłą twarzą zwiedza Oświęcim

Zaryglowano drzwi
Rozległy się oklaski

Proces

Żyją wśród nas dzieci
Przybysze z lepszych planet
Zatruwani codziennie
Słowem powietrzem wodą
Jeszcze nieświadomi

Proces wtajemniczenia
Przypomina *Proces* Kafki
I długi ciemny korytarz
Zamknięty
Zamkniętym oknem

Smugi

Kobiety których pożałem nadaremno
Odchodziły kołysząc biodrami
W sukniach z zalotnego powietrza

Wracały bez ust i oczu
Z zapleśniałą płcią

A jednak
Pożadam nadal nadaremno
Smugę wspomnienia
Co jak nagły zapach perfum
Stoi w powietrzu

Poblękitniałym
Od upływu czasu

Na kolejne urodziny

W jej oczach skoszono trawę
Nie zmieniły koloru
Ale zamieszkał w nich szmer
Umierających roślin

Drzewa

W oczach mojego dziecka
Czyste niebo sprzed milionów lat
I nagły cień
To lęk – praptak

Bezradny jak drzewo
Głaszczę jego włosy
I szumię zakłęcia –
Nie bój się nie bój

Zrozumie kiedyś
Gdy dorośnie
Że nie jestem winny
Zrozumie gdy sam będzie miał syna
Który schowa się nagle z lękiem
W bezsilnych gałęziach jego istnienia

Lokatorzy

Samotni starzy ludzie
Myślą o śmierci z obawą
Jak o jutrzejszej wizycie
Komornika
Zabierze szafę lampę
I jak potem mieszkać w nieistnieniu
Bez szafy i światła

Samotni starzy ludzie
Zanim umrą
Mieszkają w nas
Siedzą w ukryciu przez wiele lat
A potem skradają się na palcach
I nagle stają kością
W oknach
Naszych twarzy

W książkach

Ostrożnie otwierajcie bramy podręczników

Tam kraj zamrożony
Gdzie w trumnach z mroku i ciszy
Snem wiecznym śpią poeci

Starzec z krzykiem w ustach
Zamarłym w kształcie fontanny
Obok chłopiec bez twarzy
Z krukiem milczenia w rękach

Na niebie o barwie lodu
Płaskim jak kartka papieru
Zamarł w locie klucz liter

W blasku księżycy

Rozłożyli skrzydła na wietrze
I musieli się chwycić za ręce
By nie wzlecieć w powietrze

Potem tulili się do siebie
I tulili
Bo nie było nikogo
Oprócz nich
Na tym BezBoga świecie

Teraz leżą tuż obok siebie
Z nagimi pestkami
Jak przecięty na pół owoc

Bo byli za młodzi na miłość
Sparzyli sobie usta pocałunkiem
Potargali skrzydła

I śmiertelnie zmęczeni zasnęli
Na poboczu mlecznej drogi
Zagrzebani w księżycowym stogu

Kosmiczna rodzina

Wyłonił się z mgławicy Andromedy

Poczuła obcość jego ciała
I przejmujący chłód wszechświata

Wtedy z najbliższej planety
Wszeptał się ciepłą strugą
Oddech śpiącego dziecka

Czekała na następny pocałunek
On też czekał

I poprzez gwiazdy
Połączyli swoje oczekiwania
W jednym uścisku dwóch dłoni

Aż dostroili się uderzenia ich serc
Do pulsu wszechświata
Z którym był zgodny oddech dziecka

Norwid i wiek XIX

Przytuliłem chwilę swojej samotności
Do wielkiej samotności
Cypriana Norwida
Życie do jego śmierci

Moje wiersze odpoczywają
W cieniu jego skrzydeł
I ja tam kładę głowę
I słyszę jak dołem
Wiek XIX pragnie zmartwychwstać

Słowacki podlewa kwiaty
Na czwartym piętrze
Trzy ćwierci do śmierci

Na Place Vendôme 12
Chopin zamyka bezgłośnie
Opuchnięte wieko fortepianu

I słyszę jak dołem milczy
Paryż i Warszawa
Gigantyczny spis umarłych
Co się nie zmarmurza

Nieszczęśliwie zakochany

Nie mógł wyjść z tego uczucia
Jak z labiryntu ulic
Które były tak wąskie
Że niemal całowały się ściany
Suszyła się bielizna
I rosły róże na balkonach

W tym mieście już wszyscy go znają
Przecież od roku błądzi ulicami
Z ironicznym uśmiechem mija go Don Juan
Romeo i Julia tak smutni
Kiwają mu przychylnie głowami

Lecz on nie widzi nikogo
Śpieszy na plac targowy
Gdzie przekupka o czułych rękach matki
Zawinie mu jak zwykle w gazetę
Codzienną porcję nadziei

Niebieski urząd

Czy usta starych kobiet
Pamiętają pierwsze i ostatnie
Pocałunki
Czy piersi starych kobiet
Pamiętają
Czy dłonie

Nagie stare kobiety
Wołają o pomstę do nieba

Lecz tam mają widocznie inne zajęcia
Zresztą już tyle było petycji
W różnych sprawach
I żadna nie załatwiona

Okrągły stół

Udawał że się do niej nie zaleca
Udawała że nie daje się uwodzić
Przy okrągłym stoliku
W dniu który wypadł z kalendarza
I z szelestem
Potoczył się pod ich nogi

Może ona minie nie chce
Może on mnie nie lubi

Pocałował ją w myślach
A ona dała się pocałować

Wtedy w ogłuszającej ciszy
Spadły dwie kostki cukru
Do herbaty
Którą mieszała osobno
Siedząc przy jednym okrągłym stoliku

Potem wstali w pośpiechu
I założyli wspólny dom
Jak nogę na nogę

Stoi tam teraz ten sam stół
Okrągły lecz z popekanym blatem
I dwie szklanki z wystygłą herbatą

Miasteczko przy autostradzie

W małym niemieckim
Miasteczku
Upał pachnie dezodorantem
Domy jak dziwki
Z jaskrawymi ustami
Stoją przy ulicach

Starzy ludzie pamiętają tu ostatnią wojnę
Lecz milczą
Jak dęby na placu

I milczą martwi w pasiakach
Siedząc na ławkach w parku
I nawet torturowani nie krzyczą
Rozstrzelane matki
Wożą w czarnym milczeniu
Swoje nieżywe dzieci

Nikt nie ma tu już nic do powiedzenia
Nawet my
Przybysze z innego milczenia

Dwie fale

Kiedy zapukała
Rzucił się do drzwi
Czas był jednak szybszy
Zalał je zapomnieniem

I już teraz nie wie
Czy miała oczy usta ...
Pamięta tylko zapach
Spełnionej miłości
Przemieszany z zapachem kurzu
Który unosił się nad domem
Zburzonym przez wojnę

I dwie fale
Pożądania i uderzeniowa
Po wybuchu
Gorące i odległe
Jak fale Czerwonego Morza
W starożytności

Wypadek

Obudził się
Poczuł że jej nie kocha

Spała
Jakby nic się nie stało

Wstał
Włożył obce spodnie
Zawiązał
Pod szyją sopel lodu

Spojrzał przez okno
Miejski krajobraz popękał
Jak szyba
W którą ktoś cisnął kamień

Obudziła się
I jakby nic się nie stało
Uśmiechnęła się czule
Niekochanymi wargami
Potem wyciągnęła łakomą dłoń
Podał nieostrożny swoją

Na ulicy owinał kikut gazetą
Lecz nie powstrzymał
Upływu czasu

Zabawa

Zasuszona twarz ojca przekłuta szpilką
Niebieski guzik z bolesną dziurką

Znalazła to dziewczynka
Na wysokiej wieży

Wokół fosa wypełniona krwią
Czerwienią się mury obronne
Opada jak powieka zwodzony most

Zbiega po nim do pobliskiego lasu
Powiewając wesoło siwym warkoczykiem

Tam czekają jej dzieci
I umarli rodzice
Żeby się razem bawić
W bycie i nie-bycie

Powrót

Myjesz ręce
Myjesz namiętnie – nie
Raczej obojętnie – zmywasz
Dni nie wiem czego pełne
Godziny podejrzenie niepewne
Myjesz dłonie mydłem
Co udaje różę
Pod kranem wygiętym
Zalotnie lub obojętnie
Palcami czeszesz strumień
Palcami co zabłądziły
I nie mogły znaleźć mojej twarzy
Co nie chciały
A teraz pewnie zdziwią się
Że wyrósł tam przez te dni las
Lubię go – szepniesz
Lub – nie lubię lasu
Zetnij go – lub
Nie powiesz nic
Tylko zamkniesz się na klucz
W milczeniu

Dobrze że wróciłaś
I że słyszę
Jak myjesz u mnie ręce
Jakby nigdy nic
Jakbyś nie powiedziała wtedy
Nigdy nic
Już nie będzie między nami

Pokój dziecka

Umarła niedawno płócienna małpka
I nie potrafią już same jeździć
Kolorowe auta
A dziś chyba po raz pierwszy
Nie chciał bajki przed zaśnięciem

Jest noc

Tak cicho świecą gwiazdy
Że słyszymy
Jak odkleja się jego pokój
Od naszego mieszkania
A tam
Na jeszcze białych ścianach
Coraz więcej spraw
Nie wyjaśnionych
Które ściemniają się
W złotych ramach

Pocałunki

Pomyślał
Że mógłby bez niej żyć
Dom z napisem
Pokoje do wynajęcia
Lecz w każdym jej nieobecność
Smutna obojętna lub uśmiechnięta

Wtedy nagle stanęła w drzwiach
Mieszkania które przed siedmiu laty
Zbudowali ze słomek
I skrawków waty

Załopotała suknią
I złożyła
Czerwone pocałunki

Pomyślał
Że jednak mógłby bez niej żyć
Dom pełen pokoi do wynajęcia
Lecz w każdym czerwone pocałunki
Z których wykluwają się
Głodne pisklęta

Jezioro i las

Powiedziała prawdę
To bardzo bolało
Lecz ile kłamstw pod nią
Nie wiedział

Czuł tylko że gromadzą się
Jego własne kłamstwa
Pod przezroczystą taflą
Pobliskiego jeziora

Na szczęście patrzyła w inną stronę
I on tam spojrział
Lecz nie dostrzegł niczego
Oprócz lasu
Który podstępnie
Uspokajał
Zielony krajobraz

Lekcje religii z księdzem Twardowskim

Mówił o Matce Boskiej
Łagodnie tak bardzo łagodnie
Jakby była płochliwą sarną

Zamknięty w swojej czarnej sutannie
Patrzył na mnie z góry
A ja mnożyłem swoje siedem lat
Przez dziesięć wątpliwości

Teraz mam o dwadzieścia lat więcej
I odpowiednio więcej wątpliwości
Można by z nich już niemal
Zbudować bezbożny kościół

Ale od tamtego czasu
Przychodzi często do mnie
Płochliwa sarna
Spogląda łagodnie
I wątpi we mnie

Powrót na wyspę

Nie przypuszczałem że ujrzę jeszcze kiedyś
Z wysokiej strony
Brzeg od którego przed wiekiem odbiłem
By płynąć w łupinie orzecha
Po słonym morzu

Że powrócę tam mądry jak słoń
Co już wie że krucha jest porcelana
I że powita mnie
Radosnym okrzykiem
Mój mały synek który wczoraj
Nauczył się chodzić

Dotykam wyspy i słyszę jak cicho
Bije jej serce

I patrząc staram się zrozumieć
Ten świat
Gdzie wszystko się otwiera i wszystko zamyka
Gdzie pies zjawia się jak przybysz z Marsa
I mówi w ludzkim języku

I poprzez zieloną szczelinę istnienia
Ktoś patrzy na mnie

Nad rzeką

Pobliskim mostem pełza
Gąsienica towarowego pociągu

Pocałował ją
Nie w usta
W policzek
Pachniała jak miasteczko
O poranku
Gdy piekarze pieką chleb
I otwierają się z brzękiem okiennice

Most był już nagi
Stał okrakiem nad Wisłą
Na brzegu płakali rybacy

Pole

Ten człowiek ma o wiele lat za dużo
By żyć
A jednak mieszka w domu
Który zbudował dla siebie i syna
W samym środku wszechświata
Z drewna co rzeziło
Pod toporem i piłą

Syn odszedł przed stuleciem
Zabrał krowę i serce
Na zardzewiałym łańcuchu

Mieszka więc sam
Z kobietą która się nie liczy
Tylko kurczy
A i on czuje że pora
Stać się ziarnem co zgnije

Lecz nie ma na to czasu
Bo przecież
Musi wyplenić pole
Musi wyplenić
Co każdej nocy
Zarasta gwiazdami

Odlamki

Żyłem na betonowym schyłku XX wieku
Słyszałem oszalamiającą muzykę
Lecz nie tańczyłem w rytm
Który rwał na strzępy
Resztki cywilizacji śródziemnomorskiej
Stałem obok
Jak Wyspiański na weselu
Lecz o ileż mniejszy
Nie zarażony sztuką i syfilisem
Z wielkim lodowym soptem
Który dotykał serca
I wdychałem pełną piersią
Smród rzeki Heraklita
Którą płynęły fekalia epoki
I dziurawa barka z ruinami Akropolu

Urodzili się i umrą nad tą rzeką
Przy niewielkim dopływie
Któremu na imię Wisła
I wieść ich będą w rtęciowym świetle
Po kocich łbach polskiej mowy
Ze sztucznymi kwiatami
W otwartych ustach

I być może
Chociaż to mało prawdopodobne
Skorek albo mrówka
Wspomną o mnie
Na ziarenkach piasku

Urodzili się i umrą nad tą rzeką
Z podejrzenie ciężkim ułomnym sercem
I zamieszkają w nowych bezdusznych dzielnicach
Gdzie ziemia jest niebem

I być może
Chociaż to mało prawdopodobne
Beznoga i mało ruchliwa larwa błonkówki
Znajdzie odlamki
Roztrzaskanej kamiennej tablicy
W moim już zapomnianym sercu

Lekcja historii narodowej

Podszedł do łóżka syna

Dziecko oddychało lekko
Jakby szło
Na swoich małych nóżkach
Po niewidocznej stronie snu

Nie zastanawiał się przed laty
Jaki jest sens
By do błędnego koła istnienia
Dodawać nowe istnienie
Zabił w sobie pytanie
Poczuł na wargach krew

Za oknami las
Stoi jakby stał tam od stu lat
A przecież dopiero przed chwilą
Otrzymał znak – zarosły drogi

Trzeba zawiązać kilka rzeczy
Pozbierać rozbiegane myśli
Pożegnać się
Żona chwyci go za rękaw
– Nie idź to nie ma sensu –

Pomyśli – ona ma rację
Pomyśli – trzeba iść już czas

Nie wiemy czy zginie
Nie wiemy jaki będzie los jego syna
– Czy są jakieś pytania –
Podniósł się las płonących rąk

Nowy tomik

Łuszczy się mrok na ścianach
Na wieszaku stary płaszcz ojca
I wojskowa kurtka dziadka
Z postrzelanym jak sito płucem

Przez stłuczone okna
Wpada szum kanałów ściekowych
Którymi płyną nazwiska zabitych

W pokojach przycupnęły przerażone meble
Na nie posłanych łózkach
Ślady miłości na śmierć zapomnianej

Ze wszystkich kranów sączy się czas

Na szczęście już wyprowadziłem się
Z tego mieszkania
Teraz piszę nowy dom
Jeszcze nie urządzony
A już tak smutny

Więc wybiegam na warszawską ulicę
I nagle staję twarzą w twarz
Z wielkim murem płaczu mojej ojczyzny

Tam w milczącym tłumie
Czytam swoje imię i nazwisko
Na liście rozstrzelanych